TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 44. *Chicago, Ills., 29 Kwietnia, 1886 r.* Rok II.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ DRUGA:

KWIAT ALOESU.

(Ciąg dalszy.)

To mówiąc, wyrwała się z jej uścisku, i odsunąwszy rygiel, skryła się za draperye gotowalni.

— To prawda, — szepnęła sierota uspokojona ostatniemi słowy piastunki, — Miran nie może mnie dosięgnąć na łonie śmierci!

Usiadłszy jak najbliżej tego miejsca, gdzie się ukryła ayah, oczekiwała wejścia swego prześladowcy, który się niebawem pojawił w towarzystwie pułkownika. Jakkolwiek odrazę miała do wuja, w tej chwili jednak obecność jego wydała jej się jakąś obroną.

Fizyognomia młodego Indyanina złagodniała, i oko jego straciło wyraz dzikości, gdy ujrzał twarz swej ofiary; zbliżył się do niej z obliczem uległem i pokornem.

— Elleno! — wymówił, — nie tak powinniśmy się byli zejść znowu!

— Jakże uciśniony ma spotykać inaczej swego pogromcę? — odparła smutnym głosem

dziewica. — Czyż spodziewałeś się, że mnie zastaniesz uśmiechającą się radośnie, kiedy mam serce skrwawione?... Niestety! już od dawna, Miranie okrucieństwo twoje spłoszyło uśmiech z ust moich!

Mowbray zaczął ziewać i usiadł na boku; rozmowa ta nader mu się nudną wydawała.

— Elleno! nie wtrącaj mnie w rozpacz zimną i wyrachowaną pogardę; nie zmuszaj mnie bym został przedmiotem zgrozy dla siebie samego! Ja ciebie kocham... uwielbiam z całą namiętnością mej ognistej duszy! Obraz twój tak zapełnił moje serce, że nie mogę znieść innej nadziei, innego marzenia nad to, abym cię nazwał moją! I ty kochałaś mnie dawniej!

— Jak brata, istotnie, tak cię miłowałam, — odpowiedziała sierota łagodnie, — nie moja w tem wina, jeżeli przyjazne to uczucie zmieniło się...

— W nienawiść! — przerwal Miran, — ach Elleno! przez wzgląd na siebie, nie mów tak, aby nie zbudzić złego ducha drzemiącego w mem łonie! Już wiele wycierpiałem, wiele jeszcze znieść mogę od ciebie; ale nie zniosę wyznania nienawiści z ust twoich!

— Ty we mnie raczej litość niż nienawiść wzbudzasz!

— O bądź-że błogosławioną, przyjm dzięki za te wyrazy! Obym zdołał przywołać wspomnienie dziecięcych dni twoich, naszego obopólnego zaufania, naszej młodocianej miłości! ach czemuż tak przelotną była u ciebie? u mnie wyryła się jakby na twardym granicie; trzebaby mnie samego zniszczyć, aby zatrzeć to uczucie!

— O gdyby łzy moje wzruszyć zdołały ten granit, tę twardą opokę twojego serca! Miranie! czemuż szukasz miłości tam, gdzie jej wzbudzić nie mogłeś? Czyż serce twoje dozna szczęścia niwecząc moje?

— Już czas zakończyć te dziecińśtwa Elleno! — odezwał się pułkownik. — Z porządku rzeczy i wedle prawa angielskiego, jestem twym opiekunem!

— Wiem o tem wuju!

— Tem lepiej! Przyrzekłem twoją rękę temu młodemu człowiekowi, który jest moim przyjacielem. Lord kanclerz zgadza się na ten związek, a ja żądam, abyś mi była posłuszną. Jutro wieczorem weźmiesz ślub w obec mnie i lady Mowbray!

Dziewica chciała się opierać; ale spojrzenie Mirana usta jej zamknęło.

— Smutną ze mnie będziesz miał żonę, — rzekła cicho, — bardzo smutną!

— Ale zawsze żonę! — zawołał młodzian, klękając u nóg jej i ściskając jej ręce. — Dzięki ci, Elleno! za to zezwolenie choć tak chłodne!

— Zezwolenie! — jęknęła. — czyliż zezwoliłam?

— Nie roztrząsajmy tej kwestyi; że życie pełne poświęcenia z mej strony przywróci znowu uśmiech na twoje usta! niewolnikiem twoim będę, Elleno! uprzedzając we wszystkiem twoje zachcenia, usunę od ciebie każde zmartwienie! Matka moja, którą kochasz, powita cię jako zbawczynię jej syna!

— Miranie! nie mogę udawać, — przerwała dziewica, — ani kłamstwem kalać me usta, lub uwodzić cię czczą nadzieją! Nie złamię przysięgi innemu złożonej! Dokąd mnie rozpacz popchnie i szaleństwo, nie wiem jeszcze, ale bądź pewny, że serce moje nie potwierdzi nigdy ślubów, jakie twem prześladowaniem z ust moich wydrzeć usiłujesz!

Śmiałością własnych wyrazów strwożona, skryła oblicze w dłoniach i gorzko płakać poczęła.

Miran chętnie dałby pół świata, aby zdołał te łzy osuszyć, ale nie był zdolny do jedynej ofiary mogącej tego dokonać: wyrzec się jej ręki, było nad jego siły.

— Już się skłania! — mruknął pułkownik z szyderczym uśmiechem, — dobrze mówiłem, że te wszystkie wzdrygania i kaprysy nie będą trwać ciągle!

Indyanin byłby pragnął zgruchotać tego człowieka w tej chwili.

— Elleno! każda łza tych czarujących oczu jak ołów roztopiony na serce mi spada! Całem życiem mojem będę się starał wynagrodzić ci te łzy gorzkie, i wiem, że mi przebaczysz je później, przez wzgląd na miłość gwałtowną, jaką pałam ku tobie!

Miss de Vere nic nie odpowiedziała.

— Powiedz mi, że się zgadzasz, że przystajesz na ten związek, — szepnął czule, — jeżeli nie słowami, to przynajmniej spojrzeniem; jedno skinienie wystarczy mi! nie odpowiadasz?

Elleno! przyrzeknij mi tylko, że przyjdziesz do biblioteki widzieć się ze mną!

— To mogę ci przyobiecać! — rzekła młoda panienka wstając powoli. — A teraz zostaw mię samą; chyba, że wolisz mnie widzieć konającą z przerażenia u nóg twoich! Pragnę samotności, potrzebuję być samą z mojemi myślami i z Bogiem, aby Go prosić, by mnie pocieszył i przebaczył postanowieniu, które powzięłam!...

Miran, któremu ani przez myśl nie przeszło, że tem postanowieniem sieroty był zamiar samobójstwa, mniemał, że o ich małżeńskim związku myślała, na który zdawało mu się, że przystała wreszcie. Oszalał prawie z radości i szczęścia; i nie zważając na wzdragania się swej ofiary, kilkakrotnie przycisnął do ust swoich zlodowaciałe ręce Elleny, okrywając je gorącemi pocałunkami.

— Puść mnie już i odejdź, — powtórzyła, — jeżeli choć trochę masz litości dla tej, którą tak nieszczęśliwą czynisz!

Pułkownik prawie przemocą wyprowadził go z pokoju. Indyanin tak był olśniony nadzieją blizkiego spełnienia swoich życzeń, że od rozumu odchodził prawie. Nie wiedział, nie pojmował, nie rozumiał postępowania Elleny, oszukiwał się, tłumacząc na swoją korzyść każde jej słowo; a biedna dziewczyna nie siliła się wywieść go z błędu.

— Przebóg! mój kochany, wiesz, że bardziej jesteś podobny do dziecka, niż do człowieka chłodnego i rozważnego, który mnie tak w pole niegdyś wyprowadził! Wrażliwy jesteś jak młoda dziewczyna zakochana!

Miran oddalił się od niego w milczeniu. Pragnął samotności, by się oddać błogim marzeniom; obecność niecnego wspólnika, który mu służył jako narzędzie do osiągnięcia pożądanego celu, wstręt mu sprawiała.

— Wszystko dobre co się kończy dobrze! — mruknął pułkownik ścigając go wzrokiem. — Zezwolenie Elleny uwalnia nas od nieprzyjemnej ostateczności!

To powiedziawszy, zwrócił się ku bibliotece w zamiarze zniszczenia ważnego pisma, które mu Miran oddał. Ale gdy wszedł do tej komnaty, pulpitu już w niej nie było. Przejęty zdziwieniem i przestrachem, padł bezsilny na krzesło.

XXIX.

Dzierżawca Ashton z najwyższą niecierpliwością oczekiwał przybycia Khana, bo chociaż nie wątpił, że musiał mieć godziwe zamiary przywracając rozum staremu Marcinowi, który jedynym był świadkiem śmierci sir Williama Mowbray, wszelako chciał się jeszcze zapewnić o tem. Miał nadto inny powód oprócz szczerego współczucia, z jakiem pragnął szczęścia dla swojego bratanka. W osobie renegata poznał bowiem swojego brata, pomimo, że bardzo zmienionego od czasu, jak się rozstali.

Nie mało przebiegłości musiał użyć zacny gospodarz, aby odwrócić ciekawość swojej żony i bez zdradzenia tajemnicy wytłumaczyć jej, dla czego pragnął sam zostać i nie kłaść się jeszcze na spoczynek mimo spóźnionej pory. To szczęście, że poczciwa kobiecina nie była ani trochę podszeptom zazdrości przystępną.

Gdy się zbliżyła godzina umówiona, Maciej wyszedł z domu i udał się ścieżką wiodącą ku pastwisku gromadzkiemu. Wiedział, że tamtędy będzie przechodzić gość oczekiwany. Nie potrzebował też długo czekać. Dochodząc do pół drogi, usłyszał z przeciwnej strony chód ciężki i mierzony.

W istocie, był to Khan. Wspólnem wiedzeni popędem, podali sobie ręce do uścisku i zawołali się po imieniu:

— Filipie!

— Macieju!

— Poznałeś mnie więc? — zapytał renegat.

— W tej chwili, kiedym głos twój usłyszał, poznałem cię natychmiast. Twarz twoja mogłaby mnie omylić, bo rysy zmieniają się z latami, a wzrok mój nie najlepszy; ale na dźwięk twej mowy zadrgało serce w mych piersiach... Dźwięk ten omylić mnie nie mógł!

Jakiś czas przechadzali się razem w milczeniu.

— Filipie, — przerwał nareszcie dzierżawca długą ciszę, — widziałeś twojego syna?

— Widziałem go, i nie umiem znaleźć słów na podziękowanie ci za twą dobroć dla biednego, opuszczonego dziecięcia. Wywiązałeś się należycie z przyjętego zobowiązania, Macieju! nietylko okazałeś się wspaniałomyślnym, ale

i rozsądnym, może nawet roztropniejszym, niż gdybyś był wiedział...

Wstrzymał się nagle, jakby wymówił więcej niż chciał powiedzieć.

— Gdybym co był wiedział? — zapytał dzierżawca.

— Nic! nic!... chciałem powiedzieć: jest zupełnie takim, jak tylko serce ojcowskie mieć by go pragnęło!

— Możesz to przyznać, Filipie! — rzekł kmieć z dumą, bo nie miał większej rozkoszy, jak słyszeć pochwały, oddawane jego wychowankowi. — Prawda, że nie we wszystkiem moja zasługa... doktor Orine raczył być jego mistrzem.

— Wiem o tem, wiem!

— Spodziewam się, że myślisz odebrać go nam, by go z sobą zawieść do Indyi? Słyszałem, żeś bogaty, może się wstydzisz, że brat twój jest prostym rolnikiem?

— Nie jestem bogaty! — odrzekł Khan chłodno.

Ta odpowiedź była wielką ulgą dla serca poczciwego wieśniaka, nie z uczucia zazdrości, owszem, cieszyłby się szczerze pomyślnością brata; ale teraz wydało mu się, że brak zamożności zbliża ich bardziej wzajemnie.

— Dzięki Bogu! — szepnął.

— Czy za to, żem ubogi?

— Nie, Filipie, nie to chciałem wyrzec; choć rzeczywiście majątek nie stanowi jeszcze prawdziwego szczęścia!... Co do mnie, gospodarstwo wiedzie się nie źle. Mam dosyć, więcej niż potrzeba dla nas wszystkich; ale chociażbym mniej posiadał, zawsze chętnie podzieliłbym się z tobą!

Filip nic nie odpowiedziawszy, uścisnął dłoń brata.

— Czy sądzisz, że się Henryk domyśla, żeś ty jego ojciec? — przemówił znowu Maciej.

— Pewny jestem, że nie, i dla ważnych powodów pragnę, aby teraz o tem jeszcze nie wiedział. Właśnie dla tego chciałem z tobą sam na sam pomówić!

— Maciej Ashton nie mógł pojąć, żeby ojciec takiego syna, jak jego ulubiony Harry, mógł pohamować uczucia kochającego serca względem niewidzianego od lat tylu dziecięcia, i zachować się w obec niego jak obcy. To zrodziło w jego umyśle bolesne podejrzenie; aż zadrżał o przyszły los ukochanego chłopca, i wstrzymał kroki swoje; potem zapytał:

— Filipie, nie jestem ciekawy... ale przywiązanie moje do tego chłopaka nadaje mi prawo zapytać się. Spodziewam się, żeś sobie postąpił uczciwie względem matki Henryka?

— Niestety! postąpiłem jak nikczemnik i zbrodniarz! — jęknął renegat.

— Niech ci tego Bóg nie pamięta, Filipie! Boże odpuść... obawiałem się tego nieraz, bośmy nigdy nie słyszeli, żebyś był żonaty!... Tym sposobem biedny Henryk jest tylko...

— Mylnie wytłumaczyłeś sobie moje wyrazy! — przemówił brat zniecierpliwiony. — Chociaż ciężkie są moje błędy, przynajmniej tego grzechu nie mam sobie do wyrzucenia; Henryk jest dziecięciem prawego małżeństwa!

To zapewnienie przywróciło niewymowną spokojność zacnemu wieśniakowi. Zadowolony pod tym względem, nie wypytywał już o nic więcej.

— Cieszy mnie to serdecznie, żeś powrócił! — rzekł z wyrazem szczerej radości, — znasz lepiej odemnie świat i ludzi, choć i ja byłem po dwakroć w Londynie, a raz nawet do Yorku jeździłem!

— Ludzkość wszędzie jest ta sama, w Europie jak w Azyi, w wielkiem mieście jak w wiosce. Okoliczności różnie ją kształcą ale rzadko zmieniają całkowicie; występki i cnoty jej wszędzie są sobie podobne.

— Bez wątpienia! — odparł rolnik, nie pewny czy zrozumiał myśl brata.

— Ale dla czego mi to powiadasz, Macieju?

— Ach, bo to wiedzić musisz, przed dwoma, czy trzema dniami, Chettleborough, zakrystyan, przyszedł do mnie na folwark. Może go sobie przypominasz: słuszny, chudy, kiedyśmy to jeszcze malcami byli?

— Pamiętam go doskonale.

— Otóż tedy przyszedł mi powiedzieć, że biedny Marcin, powierzony opiece rektora, po kilka razy gdzieś się wydalał z jego domu, i domyśla się, że niezawodnie chodził tajemniczo do zamczyska.

— Wiem! już wiem, co to być musiało!

— Ale to jeszcze nie wszystko. Ze słów, które w swojem obłąkaniu wymawiał za powrotem, Chettleborough wnioskuje, że miss Ellena de Vere, siostrzenica biednego sir Williama

Mowbray została tam sprowadzoną, i więzioną w jakimś piekielnym zamiarze.

Filip zastanowił się czas jakiś, potem odezwał się:

— Czyś o tem wspominał Henrykowi, Macieju?

— Nie jeszcze.

— Albo może komu innemu?

— Żywej duszy o tem jeszcze nie mówiłem. Myślałem uwiadomić o tem Joego Beans; ale on tak przywiązany do swojego panicza, że nieochybnie wyjawiłby mu natychmiast tę tajemnicę.

— Wszystko zawisło od wyzdrowienia Marcina, — rzekł Filip zamyślony.

— Na które nam jeszcze długo czekać potrzeba, — dodał brat jego, — a jeżeli nieszczęśliwa miss Ellena rzeczywiście znajduje się w Opactwie, należałoby działać niezwłocznie. Harry nie darowałby mi nigdy, jeżeliby jakie nieszczęście spotkało jego kochankę, która już jest jego narzeczoną; ja sam nie wybaczyłbym sobie tego! Cóż tedy wypada uczynić? wyjawić mu to wszystko, czy też...

— Niech Bóg uchowa, jeżeli pragniesz by żył! — przerwał z żywością Khan, — rywal jego jest silny jak tygrys, a przemyślny jak wąż; nie uznaje praw innych nad swe złe chuci, i nie ceni więcej życie ludzkie, jak źdźbło trawy na drodze spotkane! Spuść się więc na mnie i zostaw mi tego wroga!

— Tobie, Filipie?

— Tak jest, ja jeden posiadam sposoby rozbrojenia go. O tem zaś bądź przekonany, że będę czuwał nad bezpieczeństwem Elleny z przywiązania dla niej samej, z miłości dla Henryka!

— Będziesz może potrzebował pomocy, Filipie?

— Ani pomocy, ani świadków żadnych, Macieju; oni tylko zniweczyliby mój plan; jak kret muszę działać sam i potajemnie!

— Dziwna to przecież taka robota! Nie rozumiem dobrze twojego postępowania; sądziłem zawsze, że każda praca odbywa się najlepiej przy świetle Bożem, wśród białego dnia, na jawie! Ale zapewne ty lepiej wiesz jak się zachować w tej okoliczności.

— Nie powątpiewaj ani o mojej roztropności, ani o spółczuciu mojem dla twego bratanka!

— Twem współczuciu, Filipie! to zbyt zimny wyraz, gdy idzie o twego syna! Wszak to miłość najtkliwszą powinienbyś czuć ku niemu!

— Miłość! tak jest! — odparł brat popędliwie. — Przyjdź jutro około północy na plebanię.

— A to poco?

— Tam się zbierze urząd, by usłyszeć świadectwo Marcina. Może wymieni zabójcę swojego pana, bo tylko on sam był obecny.

— Ale czy on może świadczyć?

— Bez zaprzeczenia!

— Więc rzeczywiście zdołałeś wyleczyć obłąkanego starca?! Och, Filipie! nabyłeś ogromnej wiedzy! Kiedyśmy jeszcze dziećmi byli razem, ty byłeś takim samym prostakiem, nieświadomym niczego jak ja! Jak się tego nauczyłeś?

— Przez cierpienia własne... A teraz żegnam cię! muszę iść do Opactwa.

— Bramy wszystkie są pozamykane.

— Ja też nie wejdę tamtędy.

— Okna i drzwi również, — dodał dzierżawca, drżąc na myśl, że brat jego mógłby być narażonym na zemstę strasznego nieprzyjaciela, o którym mówił niedawno.

— Żyłem wśród Indyan i dzikich ludzi, — odparł renegat, — i umiem wyczytać pewne znaki tam, gdzie drudzy widzieliby tylko uwiędły listek, lub złamany kwiatek. Zaufaj w moją przezorność, a pamiętaj o tem,ześ mi obiecał milczenie przed Henrykiem przez trzy dni o pokrewieństwie jakie nas łączy.

— Przez trzy dni? Czym ci to istotnie przyrzekł? Ha! niech i tak będzie! Ale to przykre zadanie, jeszcze w obec mojej żony!

— Na teraz żegnam cię, do widzenia! — rzekł Filip ściskając jego rękę, jeżeli Bóg udzieli mi życia, odpłacę ci po bratersku za twoją dobroć; jeżeli ulegnę, spełniając powinność moją, śmierć moja spłaci dług, cięższy jeszcze niż ten, który zaciągnąłem u ciebie!

— Nie mówże o śmierci, Filipie! — zawołał rolnik, — mając takiego syna jak Harry, i brata, który cię szczerze miłuje! Co się tyczy długu, bądź dobrym ojcem Henrykowi, a tem wynagrodzisz mi dostatecznie wszystko, com dla ciebie uczynił!

Khan w milczeniu uścisnął raz jeszcze szorstką dłoń wieśniaka i zwrócił kroki swe w stronę zamku Carrow.

— Ja go jeszcze dotąd nie mogę zrozumieć, — rzekł Maciej westchnąwszy.

XXX.

Po owej bolesnej operacyi, Marcin został powierzony umiejętnej pieczy dwóch bardzo znakomitych chirurgów, których obecność upoważniła niejako do tej próby niebezpiecznej, którą Khan odważył się wykonać na obłąkanym, a która rzeczywiście nad wszelkie spodziewanie się powiodła, bo chory odzyskał przytomność umysłu, utraconą wskutek zgruchotania czaszki w owej pamiętnej nocy, kiedy dokonano zabójstwa w zamku na osobie sir Williama Mowbray.

Zrazu przypomnienia jego były niepewne i niewyraźne, jakby senne marzenia, przykre i straszne; ale na drugi dzień pamięć mu zupełnie wróciła. Przypomniał sobie całe owe zdarzenie skrytobójcze i ofiarę tej okropnej zbrodni, słowem, całą scenę owej nocy krwawej.

Zasięgnąwszy zdania lekarzy, rektor i pułkownik Butler, wezwany jako drugi sędzia pokoju, postanowili badać sądownie starego Marcina.

W tym celu zaproszono jenerała Bouchier i sir Jaspera Pepper, którzy byli członkami komitetu pokoju w hrabstwie.

Biblioteka doktora Orine została przeznaczoną na miejsce posiedzenia. Ustawiono w niej stół i krzesła dla osób urzędowych, a ulubione karło doktora Orine dla starego Marcina, jako świadka.

Pułkownik Butler, obrany prezesem zebrania, otworzył posiedzenie, przypominając urzędującym kolegom swoim śmierć tajemniczą sir Williama Mowbray; dodał, że świadectwo niespodziewane pozwala, teraz dopiero, pozwać skrytobójcę przed sąd. Potem odczytał protokół śledztwa, odbytego przez koronera nazajutrz po odkrytej zbrodni, jako też treść wyroku przysięgłych.

Następnie Will Sideler został wprowadzony do sali przez Joego Beans, zakrystyana Chettleborough i konsztabla z wioski, przybyłego dla strzeżenia więźnia. Zbójca wyglądał mocno zmięszany; przerażenie, zgryzota sumienia i rozpacz wyraźnie odbijały się w jego wydatnych rysach twarzy, spojrzenie zwykle dzikie i zuchwałe, było teraz uległe i pokorne. Czuł widocznie, że sprawiedliwość, wprawdzie spóźniona, lecz niezawodna, miecz zemsty trzyma zawieszony nad jego głową.

— Willu Sidelerze, — rzekł prezes głosem poważnym, który jak dzwon grobowy zabrzmiał w uszach zbrodniarza, — jesteś stawiony przed nami dla odpowiedzenia na oskarżenie o zabójstwo okrutne i rozmyślne dokonane na osobie twego dawnego pana, sir Williama Mowbray. Uważam za obowiązek mój ostrzedz cię, że wszystko co powiesz, zostanie co do słowa zebrane i spisane przez pisarza sądowego, aby w dzień sądu użyte było na twoją obronę lub potępienie!

— Nie mam nic do powiedzenia jak tylko, że jestem niewinny, — odpowiedział opryskliwie obżałowany. — Oskarżenie to jest bezzasadnem, uknutem przeciwko mnie przez starego waryata i moich nieprzyjaciół.

— Kogoż uważasz za nieprzyjaciół twoich? — zapytał jenerał Bouchier.

— Joego Beans i tego młodego człowieka! — zawołał więzień, wskazując Henryka Ashton, który tylko gorzkim uśmiechem odpowiedział na oskarżenie dawnego dozorcy królikarni.

— A kogoż zowiesz waryatem — zapytał sir Jasper.

— Masztalerza Marcina, odparł zbójca. — Od lat najmłodszych byliśmy sobie nieprzyjaźni; kochaliśmy się oba w jednej dziewczynie. Właśnie z powodu mojej z nim sprzeczki, zostałem pierwszy raz usunięty ze służby tego sir... sir...

Zbójca zaczął się wahać, nie mógł znaleźć odwagi, aby wymówić nazwisko swojego zabitego pana.

— Tego, który padł ofiarą twej zbrodni! — dokończył Henryk Ashton, zabierając głos po raz pierwszy dopiero. — Nic w tem dziwnego, że język twój wzdryga się wymówić to nazwisko; jego to obraz ścigał cię jak mara na grobli portowej w Calais... Obraz ten stanie przed tobą w godzinie skonu i skarżyć cię będzie przed tronem Najwyższego Sędziego!

Na te słowa uroczyste obżałowany wzdrygnął się widocznie.

— Znasz dobrze Opactwo Carrow? — zapytał go pułkownik Butler.

— Tak jest, znam.

— Wiadomo ci, czy są w tem zabudowaniu ukryte wejścia, lub tajne drzwi?

— Nie wiem o tem.

— Jakimże więc sposobem ta torba myśliwska, którą dwudziestu świadków za twoją uznaje własność, znalazła się w sklepie podziemnym, przy końcu tajnego korytarza, wychodzącego do biblioteki zamkowej, w której popełniono skrytobójstwo? — przemówił doktor Orine.

Wszystkich oczy zwróciły się na więźnia. Dwa razy usiłował odpowiedzieć, ale głos mu na ustach zamarł.

— Nie masz na to odpowiedzi! Listy w torbie zawarte dowodzą, że oddawna już knowałeś zbrodnicze spiski przeciw czci i szczęściu szlachetnego człowieka, w którego służbie chleb jadłeś!

— Nie pojmuję, jakim sposobem ta strzelecka torba tam się znajdowała, — przemówił obżałowany, usiłując przybrać pozór spokojności, której cała jego powierzchowność zaprzeczała, — ale jestem przekonany, że moi nieprzyjaciele tam ją położyli, aby mnie spotwarzyć.

— Kogo nazywasz twoimi nieprzyjaciołmi?

— Joego Beans i Henryka Ashton!

Zaledwie obżałowany wyrzekł imię poczciwego wieśniaka, ten oburzony nikczemnością tego zarzutu, zawołał:

— To kłamstwo! bezczelne kłamstwo! które ci się na nic nie przyda, Willu. Nie byłem nigdy w Opactwie, tylko dwa razy w dzieciństwie, aż do tego wieczora, kiedy tam towarzyszyłem biednemu Marcinowi i zakrystyanowi!... Ty zawsze byłeś człowiekiem złośliwym i mściwym, ale ja z tobą nie wdawałem się, ani sprzeczałem nigdy! Nie podniósłbym ręki nawet, aby psu zrobić krzywdę, chyba że go ukarać trzeba! Niechaj wielmożny pan zapyta się Chettleborougha, on powie, jakeśmy tę torbę znaleźli. Ja wierzę, iż to było zrządzenie Bozkie, że ją tam zostawił niebacznie; my jej tam nie zanieśli!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DWIE MARYE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW POLSKICH

PRZEZ

FR. XAW. TUCZYŃSKIEGO

(Ciąg dalszy.)

Był to dzień 8. września. Zamek jaśniał rzęsisto, przystrojony w wieńce, tony gęśli rozlegały się i świadczyły o jakowejś uroczystości, którą Kostrzewski hucznie obchodzi.

Dziś uroczystość imienin żony jego Maryi.

Na dziedzińcu tłum, mnóztwo ludzi, koni — a wszyscy się cisną — a wszyscy się weselą.

Komnata Adama rozległa się okrzykami i brzękiem pucharów.

— Niech żyje Marya! Niech żyje Adam! Kochajmy się — słychać było co chwila.

Tu byli sami mężczyzni. Adam przybrany w strój bogaty, zachęcał do kielicha i sam „Kochajmy się" wznosił.

Naraz wszedł sługa, a zbliżywszy się do Adama, rzekł:

— Jakiś człowiek chce z tobą mówić, panie, ale żąda rozmowy na osobności.

— Niech tu wnijdzie, — rzekł Kostrzewski, — nie mam tajemnic dla moich przyjaciół.

— Wyjdź panie, — zawołał Skirmunt, — bo nie wiadomo, czego ten człowiek żąda.

— Nie, niech wnijdzie!

Sługa odszedł.

Wkrótce ukazała się we drzwiach komnaty postać wysoka. Przybyły uchylił czapki baraniej i odkrył głowę czarnym, gęstym, długim włosem porosłą. Włosy będące w nieładzie, spadały na nizkie czoło, noszące na sobie kilka pokrzyżowanych kresów. Oczy małe, bystre, ogniste, strzelały wzrokiem naokoło. Miał na sobie kurtę z wilczej skóry, obcisłe spodnie, także skórzane, a stopy obwinięte łapciami aż prawie do kolan. Biodra miał ściśnięte pasem bawolim, za którym był zatknięty ostry, błyszczący nóż i topór, a przez ramię miał przewieszony łuk i kołczan napełniony strzałami.

Przytomni ze zgrozą spoglądali na przybysza.

— Cóż powiesz, przyjacielu? — rzekł Adam do przybyłego.

— Jam jest Kiryłł, pierwszy łucznik ze zamku Różewa, — odrzekł mocnym głosem przybyły.

— Powiedz raczej, przyjacielu, z byłego zamku, gdyż teraz pono chwasty tam rosną i po wypędzeniu dwunożnych, czteronożne, i beznożne gadziny tam się zagnieździły, — rzekł Jerzy, a cała komnata głośnym wybuchła śmiechem.

— Więc czegóż żądasz? — zapytał Kostrzewski niecierpliwie. Łucznik nic nie odpowiedział; spojrzał w około, pomyślał chwilę, a potem zwracając się do przytomnych gości, rzekł:

— Panowie, nim co powiem, proszę za mną.

To mówiąc, zwrócił się ku drzwiom. Goście zdjęci ciekawością wybiegli na dziedziniec. Łucznik stanął, spojrzał w górę, niby czegoś szukając. Tak stał chwilę. Nagle pokazując palcem rzekł:

— Czy widzicie tam w górze ten czarny znaczek?

— Tak, widzimy, — odezwało się kilka głosów.

— To orlik, — dodał łucznik, niby objaśniając.

W milczeniu napiął łuk, zmierzył w górę, strzała furknęła i znikła w błękicie nieba. Nagle czarny punkt się zachwiał, zdawał się powiększać, aż nareszcie kilka kroków od obecnych panów spadł orlik, przeszyty strzałą na wylot.

Panowie spojrzeli na siebie, podziwiając zręczność łucznika. Ten zaś strzałę wydobył, oczyścił rękawem, a ważąc ją na dłoni, zbliżył się do Kostrzewskiego i rzekł złowieszczo:

— Rycerzu! jak chcesz, ma ta strzała przeszyć twoje, czy Michałowe serce?

— Jakto? Cóż to ma znaczyć?

— Ma znaczyć, — odpowie łucznik, — że ofiaruję ci moje usługi, mój łuk i moje strzały, ofiaruję ci rękę, która w przeciwnym razie ku tobie się obróci. Michał godzi na twe życie. Ja mu już służyć nie chcę, bo nie lubię ludzi zwyciężonych. Ofiaruję ci więc moją usługę.

— Nie chcę twych usług, mój kochany, — rzekł Kostrzewski, a na twe strzały mam tarczę którą w boju na lewym boku noszę. Jeźli nie mam zaś tarczy, to mam dobry pancerz. Strzała więc twoja pewno mnie w serce nie ugodzi.

— Więc odrzucasz?

— Odrzucam.

— Więc ta strzała jest dla ciebie, a ja już sobie sposobność upatrzę, bo wiedz, że nie chybiam, nawet w ciemności, — rzekł łucznik, chowając strzałę i odchodząc.

— Hola! zatrzymać tego zucha, — krzyknął Kostrzewski.

Kilku z przytomnych puściło się w pogoń, ale łucznik przepadł.

Kostrzewski cokolwiek się zamyślił; ale odpędzając złowrogie, czarne myśli, wrócił z gośćmi do komnaty. Chwilę panowało milczenie. Każdy myślał to o zręczności, to o nagłem przepadnięciu łucznika. Coraz więcej zaczęła wesołość wracać, zaczęto żartować, obracając w śmiech całe to zajście.

— Gdyby był miał rogi, to sądziłbym, że to był sam lucyper z piekła, — rzekł jeden.

— Co lepszego też nie był.

— Jeźli go tedy złowię, to tak ogrzmocę, że mu się dziad i babka przypomni.

— Łotr zniknął jak wiatr... istny czart!

Tak sobie niektórzy z gości gwarzyli, śmiejąc się. Kostrzewski schwycił puchar, powstał i rzekł:

— Panowie bracia, sądzę, że głupota jednego służalca nie będzie nam naszej wesołości zatruwać.

— Nie, nie! krzyknęli chórem.

Kostrzewski ciągnął dalej:

— Wiadomo wam atoli, że dla niesnasek pomiędzy mną a Różewskimi, mam się na baczności. Wiecie, że Michał, ten łotr. podczas kiedym ja piersiami kraj zasłaniał, ów łotr, mówię, napadł na mój zamek.

— Wiemy!

— Wiecie i o tem, że moją żonę uwięził, chcąc ją sobie przywłaszczyć.

— Wiemy! to łotr!

— Otóż panowie bracia, kiedym wrócił z wojny odebrałem żonę, a jego kazałem prętem osmagać!

— Zdrowo mu! Zasłużył! — odezwano się chórem.

— Panowie Bracia, nie koniec jeszcze! bo jak się dowiaduję, Michał silnie się zbroi i czeka stósownej pory do najazdu. Spodziewam go się niezadługo.

— Nie damy cię! — rozległ się okrzyk.

— Będziemy cię bronili!

— Łotrowi znów gorącą sprawimy łaźnię!

— Przepuścim przez suchy las!

— Kochajmy się! — krzyknął Adam.

— Kochajmy się! — rozległ się wrzask po całej komnacie.

Znów wszedł sługa.

— Cóż tam znowu? — spytano.

— Posłaniec z Krakowa.

— Z Krakowa? — rzekł Adam.

— Tak z Krakowa, ma pisanie, chce je samemu panu wręczyć.

— Niech wnijdzie!

Posłaniec wszedł, położył na czapkę zwitkę pergaminu, i podał go Kostrzewskiemu. Kostrzewski schwycił ciekawie:

— Od kogo to? — zapytał.

— Od wojewody Sieciecha.

— Od Sieciecha?... ach!... ach! zawołano zewsząd.

Kostrzewski rozwinął pergamin i dowiedział się z niego, że Michał był u Sieciecha, a skutkiem tego Sieciech wymógł na nim, aby przed tygodniem nie rozpoczynał kroków nieprzyjacielskich. Przez ten tydzień spodziewał się Sieciech uwiadomić Kostrzewskiego, aby uciekał, zwłaszcza, że król wydał na niego wyrok wygnania. Prosi go tedy Sieciech, aby uchodził, obiecując mu, że nad jego dobrami będzie czuwał. Zapewnił go również, że wygnanie długo nie potrwa.

* * *

Kostrzewski przeczytawszy zbladł a pismo wypadło mu z ręki.

— Cóż to? co to? zapytano.

— To nic, to osobisty interes, — odpowiedział Adam, a potem zwróciwszy się do posłańca dodał: — podziękuj odemnie twemu panu, zapewnij go o mej wdzięczności i powiedz, że go natychmiast uwiadomię.

Posłaniec wyszedł. Kostrzewski powstał, zawołał Skirmunta i Jerzego, i wyszli do bocznej komnaty.

— Słuchajcie! — zawołał, a potem pismo im przeczytał.

Osłupienie malowało się na twarzy i Skirmunta i Jerzego, gdy się o osnowie pisma dowiedzieli.

— Cóż począć? — zapytał Adam.

— Uchodzić coprędzej, — rzekł Skirmunt, — to moja rada, bobyś się mógł na co złego narazić, gdyż wolę króla trzeba szanować.

— Tak, tak, uchodź Adamie co prędzej, — zawołał Jerzy, — ja ci na wygnaniu będę towarzyszył, a Skirmunt zajmie się zarządem dóbr, kiedy ci ich nie odbiorą.

— Czyż Marya cios ten zniesie ze stałością? — zapytał Adam sam siebie, potem powstał i poszedł na pokoje żony.

Marya bawiła się wesoło w towarzystwie wiele znajomych pań, gdy weszła służąca i wywołała ją do męża.

Na widok bladej twarzy Adama zadrżała, domyślając się czegoś złego.

— Coś tak zmieniony mój mężu, czyż jakie nieszczęście?

— Przygotuj się Maryo, bo oto nowy cios nas dotyka. Jesteśmy bez ojczyzny, trzeba nam spiesznie uchodzić za granicę.

— Bez ojczyzny?

— Tak, bez ojczyzny! jesteśmy wygnańcami...

— I cóż my winni?

— Pewno Bóg nas doświadcza, bo ja się do żadnej winy nie poczuwam, chyba, że ukaranie porywcy twego jest winą.

Tu Adam udzielił jej treść pisma Sieciecha.

— Niech się dzieje wola Najwyższego Boga — rzekła Marya z rezygnacyą. — Chętnie pójdę Adamie za tobą, gdziekolwiek się obrócisz. Lecz dokąd pójdziemy?

— Sam nie wiem. Dla wygnańca wszystko jedno gdzie się obróci, byle nie w ojczyznie.

— Pójdziem odwiedzić grób Zbawiciela, rzekła Marya po małej chwili namysłu.

— Dobrze Maryo, pójdziemy na grób Zbawcy świata, i tam szukać będziemy ulgi dla strapionych dusz naszych. Bóg dobry może nas wysłucha i wróci nas napowrót do ojczyzny kochanej. Przygotuj się Maryo — za godzinę wyjeżdżamy w towarzystwie Jerzego, który nam chce towarzyszyć na wygnanie.

— Poczciwy Jerzy!

— Tak. Tylko się spiesz Maryo!

— Już za godzinę?

— Tak, za godzinę, — natychmiast, bez pożegnania. To okropnie ciężko, ale tak być musi. Skirmunt zostaje tutaj jako zarządca zamku.

Marya rzuciła się Adamowi na szyję, siliła się na uśmiech, ale oczy łzami zamglone świadczyły o jej wewnętrznej boleści, tajonej na ze wnątrz.

— Niech się dzieje wola Boga! — rzekła.

— Dla niepoznania, trzeba, abyś się przebrała po męzku aż do granicy.

— Niech się dzieje wola Najwyższego Pana!

Tymczasem Jerzy zabrał co mógł kosztowności, napełnił niemi dwie torby;. jedną na sobie zawiesił, drugą zostawił dla Adama. Przykro było mu się rozłączyć z ludźmi, z którymi tyle lat przeżył, z komnatami, w których najpiękniejszy wiek żywota swego strawił. Wychował się razem z Adamem, żył razem z nim i wzrósł razem z nim. Ojca i matki nie znał, nikt też mu o nich nic powiedzieć nie umiał. Ojciec Adama przywiózł go niemowlęciem z wyprawy na Prusaków. Podobno go znaleziono, tak przynajmniej Skirmunt powiadał, lecz nikt napewno o tem nie wiedział, a tem mniej Jerzy. Kostrzew dla tego był właściwą jego kolebką... Niejedna więc łza stoczyła mu się dziś po licu.

Skirmunt, Adam i Jerzy długą, tajemną prowadzili rozmowę, której treści, oprócz ich, nikt wiedzieć nie był powinien.

Przygotowania nie trwały długo. Na dziedzińcu stały trzy osiodłane konie. Wkrótce ukazali się trzej mężczyzni, ścisnęli Skirmuntowi rękę, przeżegnali się, wsiedli na koń, most zadudniał. . : i jeźdźcy zniknęli w oddali.

Skirmunt długo jeszcze ręką kiwał na znak pożegnania, a oczy łzami zalewał. Zrobił nareszcie krzyż w powietrzu, wzniósł ręce ku niebu i wyrzekł:

-- Boże, prowadź ich!...

Skinął potem na pachołka, dał mu jakieś polecenie i pismo. Było to uwiadomienie dla Sieciecha od Adama. Pachołek odebrał pismo, siadł na konia i odjechał w stronę ku Krakowu.

Skirmunt wrócił do gości.

— Gdzież Adam tak długo bawi? — pytano.

— Nie wiem, pewno zaraz powróci.

— Któż to odjechał?

— Może z gości który...

— Ależ trzech naraz odjechało!

— Może być, nie uważałem...

Zapomniano nareszcie o nieobecności gospodarza, którego Skirmunt starał się zastąpić. Miód był wyśmienity, rozmarzył wreszcie gości, że się rozjechali bez pożegnania, jedni całkiem o tem zapominając, inni zbyci, że Adam nagle zesłabł i nikogo nie wpuszcza.

Po północy zamek był znów samotny. Światła pogasły, a anioł snu sypał z rogu swego usypiającą woń na mieszkańców Kostrzewa.

Nazajutrz nad wieczorem nadciągnęło kilkadziesiąt ludzi przysłanych przez wczorajszych gości, którzy Adamowi pomoc przyrzekli. Przygotowano się, o ile można było do obrony. Straże rozłożono po zamku wzdłuż murów, naznoszono kupy rozmaitych szmatów do gaszenia ognia. Słowem, nie zapomniano o niczem, co im mogło być w razie oblężenia pożytecznem.

Był to ostatni dzień zawieszenia broni.

* * *

Na Trzciniaku od kilku dni gwar, czyszczenie broni, rżenie rumaków świadczy, że się na jakąś wyprawę gotują. Około dwieście dzielnego chłopa zebrało się, a wszyscy zbrojni. Długie, proste lub zakrzywione miecze, topory, łuki i włócznie stanowiły ich uzbrojenie. Michał wciąż obiega po dziedzińcu, zagrzewa wojaków do mę-

żnego trzymania się, obiecując nagrodę z łupów, które mieli zrobić na Kostrzewie.

Na trzy dni przed zastrzeżonym czasem wyruszył zbrojny orszak w stronę ku Kostrzewu. Na przodzie Michał, a za nim cały orszak. Przybory wojenne, brzęk mieczy, tętent kopyt końskich zwiastowały przerażonym zagrodnikom o przechodzie zbrojnego rycerstwa.

Trzeciego dnia wieczorem stanęli o pół mili od Kostrzewa. Na widok wysokich murów, zaciął Michał ze złości zęby.

— Dla tego łotra może niejeden z mych walecznych towarzyszy życie położy. Ale czekaj! za każdą kroplę krwi, którą moi ludzie wyleją, odpowiesz mi twoją własną.

— Zdaje mi się, że nas będzie trochę potu kosztowało, nim tę jaskinię rozwalimy, — rzekł Błażej.

— Choćby mi ich zagłodzić przyszło, — rzekł Michał, — ale prędzej nie odstąpię, póki tej jaskini w puch nie rozbiję, a jego i ją... ha! ha! ha!

— Nie tryumfuj przed czasem, abyś po czasie nie płakał, — przemówił spokojnie Błażej.

— Słabego ducha jesteście stryju.

Błażej machnął ręką.

— At! młody jesteś i nie masz doświadczenia, a mnie słabość ducha chcesz zarzucać.

— Nie chciałem was rozgniewać, stryju,— i darujcie, com mówił.

Błażej kiwnął głową na znak, że się nie gniewa.

Michał, Błażej i jeszcze kilku innych stanęło konno w koło, naradzając się nad planem ataku. Michał był za tem, aby zaraz ruszyć z kopyta, uderzyć i nagle do bramy szturm przypuścić. Odrzucono jednak plan jego, jako zanadto niebezpieczny.

— Ciekawym wasz plan słyszeć, — zawołał Michał gniewliwie, — czy też sądzicie, że trzeba zdradą najprzód się do środka dostać?

— Gdyby to tylko można, — rzekł jeden z obecnych.

— Na to są oni tam już przygotowani i pewno wszystkie kąty przetrząśli, czy się kto z naszych do nich nie zakradł, — wtrącił ktoś inny. — Zresztą o tem nie ma mowy. Ja radzę, aby Kostrzew z dwóch stron przynajmniej naraz zaatakować.

— Czemu tak? a czemu nie uderzyć w jedno miejsce całą siłą? — zapytał Michał.

— Kupą nadto razi, — rzekł Błażej, — mielibyśmy nadto straty.

— Więc przystaję, — odpowiedział Michał, — ja uderzę na bramę, a wy stryju uderzycie z drugiej strony.

— Zgoda, — rzekł Błażej.

— Zgoda, — powtórzyli wszyscy.

Tymczasem orszak cały zsiadł z koni i zaczęli robić faszyny do zarzucenia fosy. Naobcinano dużo gałązek brzeziny, gałązki powiązano w snopy i każdy z rycerzy wziął jeden taki snop. Na wielkim wozie przywieziono przedmiot podobien do budy z mocnych blochów zbudowanej. Prócz tego wielu miało rzemienne drabinki. Drabinki takie miały na końcach mocne haki, za pomocą których można było drabinkę na murze utwierdzić. Dwie kusze stanowiły dopełnienie uzbrojenia Różewskich.

Północ nadeszła. Pod zasłoną ciemności zbliżyli się Różewscy na ćwierć mili od zamku, potem spiesznym krokiem zaczęli pieszo i konno biedz pod same mury. Ci, którzy owe snopy nieśli, wrzucili je w fosę, a ci, którzy budę nieśli, rzucili się pierwsi do przejścia.

Michał sądził, że Kostrzew znalezie nieprzygotowanym do obrony, ale się mocno omylił.

Skirmunt wiedział bardzo dobrze, kiedy napad nastąpi; był też więc na odpór przygotowany. Starego Zdzisława, kobiety zamkowe i innych niezdatnych do broni schował do jaskini znajomej tylko jemu samemu.

Noc zapadła, kiedy Skirmunt Jana do siebie zawezwał.

— Wiesz Janie, — rzekł — że dziś może o północy będzie bitwa.... wypadek jest wątpliwy, a może i sam zginę. Gdyby tak się stało, to jest wolą Adama Kostrzewskiego, abyś ty po mnie zajął się zarządem jego majętności.

— Nie trwóżcie się Skirmuncie, Pan Bóg wam długo jeszcze żyć pozwoli — na cóż więc sobie głowę takiemi myślami nabijać?

— Nie gadajmy o tem, — odrzekł Skirmunt, machnąwszy ręką, — jestem stary, dość żyłem na świecie... parę dni później lub prędzej... ale nie o to mi chodzi. Uważ sam, że zginąć mogę, a gdybym poległ, nic ci nie powiedziawszy, zgrzeszyłbym.

— Nie zastraszajcie mnie Skirmuncie...

— Słuchaj Janie, powiem ci w krótkości, co ci mam do powiedzenia. Gdybym zginął, obejmiesz zarząd, będziesz panem w tej mają-

tności, ale oddasz ją ty lub twoi następcy tylko temu, który oto taki pierścień ci pokaże, jak ten, z tą różnicą, że na tym tu są ryte litery A. K., a na tamtym drugim powinny być M. K.

Tu pokazał szczerozłoty pierścień z kosztownym kamieniem. Jan oglądał pierścień ciekawie, a Skirmunt ciągnął dalej:

— Ktobykolwiek chciał ci w imieniu Kostrzewskiego rozkazy dawać, powinien taki pierścień posiadać.

Jan słuchał z natężoną uwagą.

— Jeszcze jedno, Janie. Gdyby nasza sprawa miała być przegraną, czego uchowaj Boże, to staraj się dostać do bramy murowanego sklepu i tam oczekuj na mnie. A gdybym poległ, to odszukaj mego trupa i zabierz do siebie ten pierścień.

Tymczasem czaty doniosły, że Różewscy znajdują się pod murami. Skirmunt i Jan zbiegli na dziedziniec, gdzie całą załogę na swych stanowiskach znaleźli. Różewskich przywitała przy fosie chmura strzał z po za murów. Jęk rannych ozwał się w ciemności. Oblężeńcy również wypuścili strzały, ale te z łoskotem odpadały od murów.

Wśród chmury strzał przedarli się najeźdźcy przez fosę i schronili się przed murami, gdzie ich strzały oblężonych już tak razić nie mogły. Lecz oblężeni poczęli ich za to razić ukropem, spychali z murów kamienie znacznej wielkości, ciskali na nich zapalone, napuszczone tłuszczem szmaty.

Buda, która się zbliżyła pod mur, tak była urządzona, że w jej wnętrzu ukryci ludzie wygodnie ją nieść mogli, nie będąc narażonymi na pociski. Owi więc ukryci przyparli budę do muru i poczęli ostremi narzędziami świdrować, usiłując zrobić wyłom. Kamienie i glina ustępowały pod żelazem i w godzinę zrobiono dziurę, przez którą kilku ludzi wejść mogło.

Szczęściem spostrzeżono na dziedzińcu zamysł najeźdźców — lecz nie można mu było całkowicie zapobiedz. Sypnęła się załoga do obrony zagrożonego miejsca, ale nadaremno... strzały ludzi w budzie ukrytych dosięgnąć nie mogły. Na rozkaz Skirmunta przyniesiono kilka snopów słomy, a skoro oblężeńcy mur przebili, zaraz ową słomę zapalono. Dym i płomień zmusił oblężeńców do odstąpienia od wyłomu, a tymczasem belkami, kamieniami i ziemią zatarasowano zgubą grożący otwór. Na odgłos o wyłomie koło bramy, opuścili łucznicy, broniący murów z przeciwnej strony, swe stanowisko, a przybiegli do bramy na ratunek. Na szczęście spostrzegł to wnet Skirmunt i posłał tam Jana coprędzej. W sam czas Jan nadbiegł, gdyż na wierzchu murów rój najeźdzców wił się i kręcił. Furknęły strzały, kilku najeźdzców zniknęło, znów świst, znów pluśnięcie w wodę, oznajmiło radością przejętemu Janowi, że spadli we fosę. Mury już czyste, najeźdzcy nie śmieli się wdzierać.

A tymczasem już i dzień zaczął świtać i ciemność coraz więcej rozpraszać. Naraz i słońce z za ziemi wyjrzało, przypatrując się dzikiej scenie, która się na Kostrzewie odgrywała.

Odparci ze wszech stron najeźdzcy poczęli na nowo robić wyłom w innem miejscu. Łucznicy, obwinąwszy strzały w tłuste szmaty, zapalili je i wypuścili na zamek. Ognie owe tworząc łuk w powietrzu i ciągnąc ze sobą świe tlisty ogon, jak kometa, spadły na dach zamkowy... znów lecą ogniste strzały... i w kilka chwil wzbił się słup płomieni po nad zamkiem.

Okrzyk zgrozy, wściekłości i rozpaczy wydarł się z piersi oblężonych, ale nie stracili odwagi, owszem tem zapalczywiej bronić się postanowili, chcąc raczej poledz, niż się wydać na pastwę najezdnikom. Zamek płonął, wyrzucając w górę słup płomienny. Powstający wiatr rozdymał pożar coraz więcej. Dym gęsty, czarny okrył cały dziedziniec, tamując oblężonym oddech, i nie dozwalając otworzyć oczu.

Okropna to była chwila! Nie mogąc nic dojrzeć, nie wiedzieli co począć, gdzie strzały kierować. Na ślepo wypuszczone strzały raniły albo własnych przyjacieli, albo przeszły nad nieprzyjacielem, albo się też o mury odbijały. Wiedziano dobrze, że nieprzyjaciel nie omieszka korzystać z tego zamięszania i mur znowu przekłuje... lecz gdzie? nikt nie wiedział, bo w zgiełku słyszeć nic nie można było.

A tymczasem Różewscy już wyłom zrobili; pod zasłoną dymu poczęli się na dziedziniec wciskać.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

ZBAWICIEL W DRODZE.

(Dokończenie.)

IV.

Razu jednego przyśli późnym wieczorem do jednej wsi. Pan chciał wstąpić do biednej chaty i zapytać się o nocleg; Piotr zaś nalegał, żeby się udali do jednego z okazalszych domów, gdzieby był dostatek wszystkiego. Pan nie wzbraniając mu tego, usiadł sam przed biedną chatą. Piotr wszedł do domu najokazalszego.

— Tu musi być zamożny gospodarz, dostaniemy więc dobrą wieczerzę i dobry nocleg! — pomyślał sobie; lecz się omylił. Gospodyni pozbyła go hardo, mówiąc, że nie gotuje dla włóczęgów i noclegu też dla nich nie ma! — Piotr się rozgniewał, lecz nie dając się odstraszyć, poszedł do drugiego domu, ale i tu go podobnie pozbyto, i tak samo i w trzecim. Pełen zmartwienia, wrócił nareszcie do Chrystusa Pana.

— Pójdź, spróbujmy w tej chacie, rzekł Pan, i obaj weszli. Zastali niewiastę z dziećmi właśnie przy jedzeniu. Ubóztwo tam było widoczne.

— Dobrześmy się wybrali — pomyślał Piotr, wszakże ta kobieta sama nic nie ma!

Lecz się omylił. Gdy bowiem Pan o wieczerzą i nocleg prosił, odpowiedziała z szczerością:

— Jeśli się kontentować będziecie tem co mam, chętnie wam służyć będę.

Ta kobieta uboga była wdową. Pan był z wszystkiego zadowolniony, a wdowa przyszedłszy i nie zabawiwszy długo, przyniosła im miskę polewki i przepraszała, że niedosyć polewka tłusta, dodając, że chętnie byłaby przyrządziła tłuściejszą lecz nie mogła tego uczynić nie mając oleju.

— Piotrze zlicz oczy na polewce pływające! — mówił Pan.

Piotr zliczył oczy; było ich więcej jak sześćdziesiąt, powierzchownie tylko porachowawszy. Gdy zjedli i mieli się udać na górę, gdzie im wdowa posłanie przygotowała, naliczył Pan tyle dukatów na stół, ile ócz na polewce pływało, i dał je wdowie. Poczciwa kobieta nie wiedziała co począć z radości.

Nazajutrz rano chcąc podróżnym przyrządzić dobre śniadanie, poszła do sąsiedniego zamożnego domu po mleko i opowiadała tam gospodyni, jak jej bogato podróżni za złą polewkę wynagrodzili, dawszy jej tyle dukatów, ile ócz na polewce pływało. Gospodyni pieniędzy chciwa, mówiła wdowie, żeby podróżnym nic nie gotowała, ponieważ ona sama chce ich zaprosić, mając wszystkiego do zbytku, i mogąc im lepszą polewkę przyrządzić. Gdy to wdowa Piotrowi i Panu powiedziała, rzekł Pan:

— Piotrze pójdziemy! — I poszli do domu wieśniaczki, a dziękczynienia wdowy towarzyszyły im.

Bogata wieśniaczka przyrządziła im bardzo tłustą polewkę. Kiedy złą polewkę tak dobrze zapłacili, jakże dopiero tę dobrą zapłacą! myślała sobie.

— Piotrze, licz oczy pływające po polewce! — rzekł Pan.

— O Panie! zawołał Piotr, któremu polewka nadzwyczajnie smakowała — polewka jest tak dobrą, że się tłuszcz na niej w jedno okó zlewa. Wieśniaczka zasłużyła, iżbyś jej w dwójnasób wynagrodził.

Gdy odchodzili, dał pan wieśniaczce tylko jednego dukata. Wieśniaczka nie była zadowolnioną, lecz Chrystus Pan nie dał jej więcej; ile ócz, tyle dukatów.

W drodze ganił to Piotr Panu, lecz Pan odpowiedział:

— Piotrze, nie wielkość daru stanowi jego wartość, lecz serce, jakie ma dawca. Zła polewka biednej wdowy zaiste sześćdziesiąt razy

tyle była warta, ile dobra polewka bogatej wieśniaczki.

V.

Pewnego razu przyszedł Pan do jednej wsi i ujrzał starego żebraka, który z płaczem wychodził z okazałego domu.

— Czego płaczesz, staruszku? — zapytał go Pan.

— O Panie, jestem głodny, a nie mogę sobie kawałka chleba użebrać. Wszędzie kobiety mają z konopiami do czynienia: każda mnie zbywa, że nie ma czasu, i żadna nie chce sobie dać tyle czasu, iżby mi kawałek chleba ukrajała.

Tak biadał żebrak. Pan kazał mu zaczekać, aż on sam pójdzie do tego domu, z którego żebraka pozbyto. Wieśniaczka z dziewkami zatrudnioną była wiązaniem konopi, by je potem namoczyć. Pan prosił o kawałek chleba.

— Wy hurmem przychodzicie, jeden po drugim. Ruszaj sobie! Nie mam czasu wam usługiwać! — zawołała wieśniaczka, a gdy Pan mimo to prosić nie przestawał, mówiąc że jej Bóg wynagrodzi co dla biednego uczyni, krzyknęła rozgniewana:

— Nie potrzebuję twoich uwag, nie dostaniesz nic; dla twojej dogodności nie porzucę roboty.

Chrystus pan oddalił się i poszedł do drugiego domu, gdzie mu się lepiej nie powiodło. I tak go wszędzie pozbywano. Natenczas rzekł Pan do wieśniaczki którą na ostatku prosił:

— Pamiętajcie, że na przyszłość będziecie miały podwójną robotę z konopiami!

Rzekłszy to Zbawiciel, poszedł, i wziął żebraka z sobą.

A odtąd konopie muszą być rwane dwa razy: raz czcze, drugi raz na siew.

(Koniec.)

KLARA
— CZYLI —
ZWYCIĘZTWO CNOTY.
POWIEŚĆ.

NAPISAŁ

X. KANONIK SZMID.

(Ciąg dalszy.)

Rycerz Artur, który już tam czekał na Klarę, przyjął ją bardzo uprzejmie, podał jej krzesło i zaprosił do śniadania. „Jedz, posil się, piękna, dobra Klaro, rzekł, bo droga, którą dziś mamy przed sobą, jest daleką i uciążliwą".

— Na Boga, kochany bratanku, odezwała się mniemana ciotka. Nie myślisz przecież odważać się na to, by przeprowadzić Klarę przez ten dziki, odludny las, pełen zbójców. Nie, na to w żaden sposób zezwolić nie mogę. Wszyscy niemal ludzie twoi są ranni, trzech ledwo zdolnych do służby. Sam lepiejbyś uczynił, gdybyś twą ranę na ręku opatrzyć kazał, i nie ukrywał jej tak starannie z galanteryi dla panny Klary. Je-

żeli nie będziesz zważał na moją przestrogę, narazisz łatwo twe i Klary życie na wielkie niebezpieczeństwo. Czy rozumiesz, iż niecny złoczyńca, dla którego owi rabusie Klarę porwali, przepuści was tak łatwo przez ten las ciemny? Wiesz przecież, iż dwóch tych niegodziwców zemknęło. Czyż oni nie zanieśli mu tej wieści? I czy nie będzie on czatował na was z większą zgrają. Cóż myślisz począć z tymi dwoma młodzianami i jednym starcem? Jak obronić się przeciw przemagającej sile? O, jeżeli własne życie cenisz tak mało, toś powinien przynajmniej mieć wzgląd na tę młodą dziewczynę, i nie narażać jej na tak widoczne niebezpieczeństwo.

Rycerz odpowiedział z uśmiechem: Przyobiecałem Klarze odwieźć ją jak można najprędzej do matki, a wiesz ciotko, iż zwykłem dotrzymać danej obietnicy. Jeżeli mnie panna Klara sama nie uwolni od danego jej słowa, pojadę, choćbym śmierć pewną miał przed oczyma.

Gertruda obróciła się teraz zalana łzami do Klary: „O moja najdroższa, zawołała, zlituj się i nie wymagaj tego po nim. Uwolnij go od tej obietnicy nierozważnej".

Klara westchnęła, „Ach jak się moja matka niepokoić będzie o mnie. O, ona śmierć może mieć z tego".

— O, co do tego, na to znajdziemy radę, odpowiedziała ciotka. Wyślemy zaraz do niej z listem posłańca, który w wiejskiem ubraniu łatwo las przejdzie, nie wzbudziwszy podejrzenia w twoich prześladowcach. Doniesiemy twej szanownej matce, jakim cudownym sposobem uszłaś grożącemu ci niebezpieczeństwu, że się znajdujesz pod dobrą opieką, i że wkrótce powrócisz do niej. Tymczasem sprowadzi rycerz Artur ludzi z swych innych zamków, i z mocną eskortą odprowadzi cię w tryumfie do matki.

Klara, która w tych słowach nie przeczuwała żadnej obłudy, dała się łatwo uspokoić. Rycerz i jego przebiegła pomocnica usiłowali odurzyć jej zmysły rozmaitemi rozrywkami. Artur, który posiadał wielki dar zabawienia i wiele miał dowcipu, opowiadał jej rozmaite przygody z swego rycerskiego życia. Umiał przytem swym mężnym i walecznym czynom dodać niejeden rys wzruszającej szlachetności, unikając jednakże przytem wszelkiego pozoru próżności, a Klara, która przy tych powieściach to drżała, to do łez wzruszoną była, nabrała przez to wielkiego mniemania o waleczności i szlachetności tego rycerza.

Jednego wieczora usiłował Artur zabawi Klarę muzyką. Grał ślicznie na lutni i śpiewał niemniej pięknie. Klara słuchała go z przyjemnością, zwłaszcza, że nie znała jeszcze tego instrumentu. Gertruda zapytała jej, czy ona śpiewa także. Klara odpowiedziała jej, iż śpiewała codziennie z matką poranne i wieczorne hymny. Artur prosił usilnie Klary, by zaśpiewała pieśń wieczorną. „Ponieważ już późno dzisiaj, rzekł, zakończymy ten dzień dzisiejszy". Klara śpiewała więc swym czystym, anielskim głosem pieśń pobożną, a obłudna Gertruda złożyła ręce jakby do modlitwy.

Rycerz chwalił niezmiernie głos Klary i zapewniał, iż jest wzruszony i zachwycony jej śpiewem.

— A szkoda tylko, że nie umiesz, piękna Klaro, towarzyszyć sobie na instrumencie jakim twemu pięknemu głosowi. Prosił ją, by przyjęła w podarunku lutnię jego i ofiarował się uczyć ją grać na niej. Wprawdzie droga pani będziesz tylko dni kilka na moim zamku, lecz przy twoim wielkim talencie do muzyki, wystarczą kilka godzin nauki, abyś mistrzynią została. Jeżeli ci się podoba, możemy jutro rozpocząć naukę.

Klara przyjęła tę propozycyę z wdzięcznością. Nie poznała się na tem, dla czego ją Artur uczył. Klara po każdem śniadaniu, obiedzie i wieczerzy, spieszyła do swego pokoju, chcąc być samą; Artur więc dla tego chciał być jej nauczycielem, by dłużej przy niej zostawać.

Niewinna, pełna prostoty Klara, nie domyślała się w tem żadnego niebezpieczeństwa. Nie przyszło jej nawet na myśl, do czego to wszystko zmierzaćby mogło. Tak więc stała nad głęboką przepaścią, nie widząc jej przed sobą. Była podobną do jagniątka, które chcąc ujść nawałności, schroniło się do jaskini wilka, i mniema się tam w bezpieczeństwie.

Przybywszy jednakże wieczorem do swego pokoju, nie omieszkała nigdy odmówić pobożnie swych modlitw. Upadła na kolana, jak to zwykle w domu czyniła, starała się zebrać swe rozproszone myśli i wznieść je do Boga. Wszystko to, co jej rycerz i Gertruda mówili o świecie i jego rozkoszach, traciło w tych chwilach dla niej swe zgubne wrażenie, a gdy rozmyślała nad słowami Artura, w gorszem wystawiał jej się świetle, niż wtenczas, gdy je z ust jego słyszała. Zastanawiała się nad swem własnem postępowaniem, czy nie popełniła jakiej lekkomyślności, i przedsiębrała być ostrożniejszą. Tęsknota za matką wzbudzała się w tych chwilach gwałtowniej w jej duszy, błagała gorąco

Boga, by ją jak najprędzej wybawił z tego pysznego pałacu, od tych wesołych osób, i zawiódł ją do jej lichego mieszkania w objęcia ukochanej matki.

ROZDZIAŁ III.

Ciężkie próby.

Pewnego dnia pokazała Gertruda Klarze mnóstwo pięknych strojów i klejnotów. „Są one przeznaczone, rzekła, jako podarek ślubny jednej kuzynce Artura, bardzo miłej i dobrej dziewczynie". Pomiędzy temi strojami była różowa, jedwabna suknia, która się najbardziej Klarze podobała. Gertruda namówiła ją, by się w nią ubrała. Leżała jej jakby dla niej zrobioną była. Potem ułożyła Gertruda włosy jej w kunsztowne pierścienie, ozdobiła je sznurkami pereł, włożyła na jej odsłonioną szyję kosztowny złoty łańcuch i zaprowadziła ją przed zwierciadło, dając znak służącej, by się z jej rzeczami oddaliła. Klara zaledwo poznała się sama i mimowolny uśmiech zadowolnienia zabłysnął na jej ustach.

W tej chwili Artur wszedł do salonu. Zdawał się osłupiały z podziwienia. „Cóż widzę? Czyś to ty Klaro? Rozumiałem, iż widzę córkę królewską przed sobą. Nie, ty byłabyś między wszystkiemi szlacheckiemi dziewicami, czem jest słońce między gwiazdami. Stwórca sam uszlachetnił ciebie. Nie, ty nie powinnaś rozbierać się z tego stroju. Daję ci w podarunku tę suknię, te perły i ten łańcuch złoty. Nie wolno ci odtąd przywdziać napowrót twojej odzieży. Byłoby to występkiem szpecić dłużej jeszcze ten cudowny utwór Boga tą lichą odzieżą. Nie powrócisz więcej w rozwaliny waszego starego zamczyska, mieszkać pomiędzy gruzami. Tyś zrodzona, by władać zamkami i zdobić nawet tron cesarski!"

Na te pochwały okryła się Klara żywym rumieńcem. Pierwszy raz zabłysła jej myśl, iż rycerz nie ma względem niej uczciwych zamiarów. Przypomniała sobie przestrogi matki, by się strzegła podchlebców jak wężów jadowitych. Lękliwie zaczęła szukać swych rzeczy, a gdy ich nie znalazła, rzekła tonem poważnym i pełnym godności: „Dość już tych żartów. Było to nierozważnie z mej strony, przywdziewać rzeczy, które nie są mojemi. Proszę, oddajcie mi mój ubiór".

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

(Ciąg dalszy.)

Podróżnik, ziele, Cechoreum, to ziele jest ogrodowe i dzikie, rośnie przy drogach i w zbożu, kwitnie niebiesko; kwiat i liście dzikiego czyszczą żółć i żołądek, a korzeń pomaga na szkorbut.

Polej, ziele, Polegium, to rozkłada się po ziemi, a liście ma podobne do Majerana, kwiatki ma gromadkami blado czerwone, lub białe i pachnące. To ziele służy wątrobie, pędzi urynę i kamień kruszy; zewnętrznie pomaga na zgniliznę w ustach.

Przestęp, ziele, jest śmierdzące, z jagódkami czarnemi, pnie się do góry po płotach. Korzeń laksy wywołuje i wyprowadza flegmiste humory. Skuteczny jest na zawrot głowy, na manią i febrę. Korzeń do zażywania winien być ususzonym, i podług rady lekarza pod wagą danym.

Rumianek pospolity, pachnący, ma moc rozwalniającą i leczącą żołądek na kurcze; także użytecznym jest w kąpielach i enemach.

Ruta ogrodowa, każdemu znajoma, tę codziennie po kilkanaście listków zażywając, wzrok słaby naprawia, i oczy czyste czyni; a sok wpuszczony w ucho na bawełnie, słuch tępy naprawia. Ziele to często zażywane, przytłumia lubieżność. Ocet z ruty broni od zaraźliwych chorób, choćby i w powietrzu.

Ruta polna, rośnie po miedzach i przy drogach, jest bardzo podobna do ptasiej wyki, tylko że ruta we wysoką łodygę wyrasta. Ta wzbudza poty, wypędza odrę lub ospę i leczy na ukąszenie jadowitej bestyi. A ugotowawszy jedną sporą garść do kąpieli, wielką pomoc czyni w puchlinach lub zgniłych febrach. Potem, dla prędszego wyleczenia puchliny, Opodeldokiem trzeba się smarować i przy ogniu mocno opiekać.

(Dalszy ciąg nastąpi.)